

– Czy pamiętasz profesora ... ? – pytamy często kolegów podczas spotkań po latach.

Różni bywali nasi nauczyciele i różnie ich wspominamy, lecz o niewielu z nich można powiedzieć, że byli KIMŚ. Ja takiego KOGOŚ spotkałem dopiero na studiach.

Byłem dzieckiem Polski powiatowej i to z tych biedniejszych powiatów. Nie mieliśmy w pobliżu Nowej Huty, która żywiłaby tysiące. Była tylko mała papiernia dająca chleb może ze dwóm setkom, a śmierdząca równie mocno jak huta. Naszych domów nie otaczały wymuskane sady jak pod Grójcem, a tylko pegeerowskie pola, na które wożono nas ze szkoły na wykopki. Były za to grzyby, ryby i pomniki ku chwale radzieckich wyzwolicieli tych ziem. Naszą metropolią był Szczecin i to on dawał mi wyobrażenie dużego miasta.

Egzaminy na studia miałem zdawać w o wiele większym mieście, w którym nigdy jeszcze nie byłem. Przed wyjazdem wypytywałem bywałych tam znajomych o sposób dotarcia na ulicę, przy której znajdowała się uczelnia.

– To proste – usłyszałem. – To są tylko cztery przystanki tramwajowe od dworca kolejowego.

Ubrany w nowiutki, sprawiony na maturę garnitur, z tekturową walizką w ręce, ruszyłem zatłoczonym pociągiem w nieznaną. Miasto powitało mnie upalnym przedpołudniem i tramwajem o właściwym numerze, który zaraz podjechał na przystanek. Wtedy wykombinowałem sobie, że cztery przystanki to będzie jakiś kilometr i spokojnie przejdę to piechotą. Szybko okazało się, że to nie Szczecin i że te cztery przystanki to był kawał drogi. A słońce grzało. Spocony, przekładając coraz częściej z ręki do ręki niewygodną walizkę, doszedłem w końcu do celu.

Egzaminy zdałem i zostałem studentem.

Już na początku roku akademickiego starsi studenci pouczali mnie, kogo na wydziale trzeba się bać, a kogo nie.

– Żebyś tylko nie miał lektoratu z rosyjskiego z A, ćwiczeń z pola z B i ćwiczeń z oczek z C, bo będziesz miał przerąbane – ostrzegali.

Moje szczęście podzieliło się w stosunku jeden do dwóch: nie miałem ćwiczeń z pola z B, ale za to miałem rosyjski z A i ćwiczenia z oczek z C.

Tak zwane „oczka” wykladał wtedy profesor, o którym wydziałowa wieść niosła, że u niego egzaminu komisyjnego jeszcze nikt nie zdał. Było też powszechnie wiadomo, że jest wymagający i do bólu sprawiedliwy. Miał zeszyt, w którym zapisywał dane o studentach i często z niego korzystał. Zdarzało się, że gdzieś aż na czwartym roku w czasie egzaminu mówił:

– Na drugim roku też pan tego nie wiedział. Wtedy panu podarowałem, ale teraz nie podaruję. Miał pan czas, żeby się douczyć. Przykro mi. Niedostateczny.

Na pierwsze wrażenie wzbudzał więc strach. Studenci bali się go, ale i podziwiali, bo był przedwojennym oficerem i medalistą olimpijskim. Mimo niekwestionowanej wiedzy, zasług i dobrej opinii w środowisku

naukowym, był tylko profesorem nadzwyczajnym, bo komunistycznym władzom nie podobała się jego działalność społeczna. Profesor był bowiem znanym w środowisku działaczem katolickim. Jednym słowem była to postać nietuzinkowa. Na wykłady przychodził zawsze pod krawatem, w eleganckim garniturze, ze starannie przyciętym siwym wąsikiem i wyprostowany jak żołnierz na warcie. Studentów trzymał krótko. Co tydzień wywieszał listę zadań do rozwiązania, a co dwa tygodnie robił pisemne sprawdziany.

Oczka ciągnęły się przez dwa lata i kończyły się na szóstym semestrze egzaminem u profesora. Ćwiczenia w naszej grupie prowadził słynny doktor C, który swoim zachowaniem przyprawiał nas o bezsenność.

– Panie! Pańska głowa i moje uszy to istny osioł – mówił nieraz do studenta przy tablicy. – To jest proste jak ogon zdechłego szczura, a pan tego nie rozumie! Nie będzie z pana inżyniera!

Wytrzymywaliśmy to jakoś, aż nadszedł ostatni semestr oczek i na pierwszych ćwiczeniach zamiast doktora C w drzwiach stanął profesor.

– Widzę, że jesteście państwo zaskoczeni – przywitał nas. – Dwóch moich asystentów wyjechało na stypendium za granicę i dlatego ja poprowadzę ćwiczenia w tej grupie. Jak zwykle jest już nowa lista zadań, które powinniście państwo rozwiązać. Może pan pokaże mi swoje rozwiązania – powiedział, wskazując na mnie.

Który student szóstego semestru, na pierwsze ćwiczenia rozwiązuje jakieś zadania? Żaden. Nie rozwiązałem i ja.

– Nie rozwiązałem tych zadań, panie profesorze – przyznałem się.

– To bardzo niedobrze. Niedostateczny – powiedział profesor i wpisał czerwonym długopisem dwójkę do arkusza ocen. – Poproszę jednak pana do tablicy – ciągnął. – To, że pan nie ma w zeszytach rozwiązań, nie musi oznaczać, że pan ich nie zna. Proszę rozwiązać szóste zadanie.

Stałem przy tablicy jak kołek, bo nie potrafiłem nawet ruszyć tego zadania.

– Bardzo źle rozpoczyna pan semestr – powiedział profesor. – Niedostateczny.

Przy moim nazwisku pojawiła się druga czerwona dwójka, a tym samym czarne chmury zawisły nad moją przyszłością. Na końcu semestru czekał mnie egzamin z dwóch lat, a tu taki początek. Ogarnęły mnie najgorsze przeczucia: „Profesor mi tego nie przepuści. Egzamin mam z głowy, poprawkę pewnie też, a komisyjnego u niego jeszcze nikt nie zdał. Po mnie! Urlop dziekański jak nic - jeśli dostanę.”

Od tamtego dnia oczka stały się numerem jeden mojego życia. Rozwiązywałem wywieszane zadania i jeszcze trochę więcej, wszystkie sprawdziany pisałem na piątki i kułem. Czas upływał, koledzy mieli już po cztery oceny, a przy moim nazwisku wciąż świeciły tylko dwie czerwone dwójki. Z ćwiczeń na ćwiczenia czekałem, żeby profesor wziął mnie do tablicy, a na ostatnie ćwiczenia byłem obkuty jak na egzamin.

– Dzisiaj kończymy ćwiczenia. Przepytam jeszcze dwie osoby, a potem wpiszę zaliczenia – rozpoczął profesor.

Siedziałem, czekając jak na ścięcie. Profesor tymczasem przepytał dwóch kolegów, ale nie mnie. Potem

poprosił starostę grupy o zebranie indeksów, a nam kazał poczekać na korytarzu.

– Chyba da mi zaliczenie – mruczałem do siebie, stojąc w kącie. – Siedem sprawdzianów mam na pięć i tylko te dwie pały z odpowiedzi. Nie będzie chyba świnią i zaliczenie da, a na egzamin obkuję się jeszcze bardziej.

Gdy starosta podał mi indeks, o mało go nie podarłem, szukając właściwej strony. Wreszcie ją znalazłem i zaniemówiłem. Starannym, przedwojennym pismem było na niej wpisane: zaliczenie - bardzo dobry, egzamin końcowy - dobry.

– Mam czwórkę z egzaminu! – zawołałem do kolegów. – Popatrzcie!

Wszyscy zbili się wkoło mnie i oglądali z niedowierzaniem mój indeks.

– Przepraszam. Blokują państwo drzwi. Nie mogę wyjść – usłyszeliśmy głos profesora.

Rozstąpiliśmy się. Profesor pożyczył nam powodzenia na egzaminie i pożegnał się.

Odchodząc, zerknął jeszcze na mnie i pod jego białym wąsikiem pojawił się na chwilę filuterny uśmiech.

A może tylko mi się wydawało?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Marian, dodano 07.04.2022 15:33

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).